



Stefan Grabiński

SAD UMARŁYCH

opowieści niesamowite

Sad umarłych

Stefan Grabiński

Sad umarłych

opowieści niesamowite

Armoryka

Redaktor tomu: Marta Sarwa
Projekt okładki: Juliusz Susak

© Wydawnictwo ARMORYKA 2016

Wydawnictwo ARMORYKA
ul. Krucza 16
27-600 Sandomierz
<http://www.armoryka.pl/>

ISBN 978-83-8064-188-4

PRZED DROGĄ DALEKĄ

URYWKI Z PAMIĘTNIKA W. LASOTY

Maj 1905

Nastają dla mnie dni szczęśliwe, pogodne. Jakiś dobry duch zawitał w moje progi. Południa mam teraz ciepłe, słońcem nagrzane, wieczory łagodne, kojące. Praca dnia przynosi mi plon; czuję szacunek ludzi, miłość uwielbianej żony. Jestem młody, zdrow i silny. Ramiona moje prężą się męską energią czynu, mózg mój rozwiązuje łatwo stawiane sobie zadania. Krokiem elastycznym przemierzam ulice, lekki, młodzieńczo swobodny syć oko barwną zmiennością rzeczy. Piękny, ciekawy jest świat!...

Szczęśliwie rozpocząłem trzydziesty rok życia. Zapowiada się pomyślnie, wśród wróżb dobrych na przyszłość. Dochodzę do długo upragnionych spełnień, stoję w świecie stopą pewną, spokojnie spoglądam w rozwierające się przede mną dalekie perspektywy. Jestem na drodze do zakreślonych mi przez los mój i zdolności szczytów.

Przyjaciół szanowne głowy chylą się ku mnie gestem życzliwym, zgodne w uznaniu, serdeczne uściski rąk ludzi obcych umacniają mię w przekonaniu, że życia nie teram, zem tu potrzebny i ważny.

Zdaje się, zachodzą we mnie od niedawna, może nawet w tych ostatnich czasach, znaczne zmiany w stosunku do

życia i jego przejawów. Zaczynam je pojmować bardziej po ziemsku – więc serdeczniej, goręcej. Zbliżyłem się jakoś do świata, do ludzi i słyszę teraz wyraźniej gorące ich tętno. Życie poczyna mieć dla mnie urok całkiem nowy, dotąd niespodziewany; jakby zdwoiła się dla mnie jego przedziwna uroda.

Staję się z dniem każdym zapamiętałym wielbicielem kształtów i form, żywiołowej bujności życiowych procesów, cielesnej strony rozwoju. Ja, niegdyś zwolennik eterycznych abstrakcji, twórca fikcji rozwiewanych za najlżejszym tchnieniem, dziś kocham się w plastyce, w *concre-tum*, nurzam się z rozkoszą chorobliwą nawet w małościach dnia. Jest w tym utajony jakiś głęboki jak morze liryzm, rzewne ukochanie czegoś, co miłe i wrogie zarazem, czarowne i groźne, poważne i naiwne czasem jak dziecko. Jestem dziś dziwnie wyrozumiały i miękki.

Zima r. 1905

Ogarnia mnie coraz przemożniej jakaś niepojęta żądza zabaw, nienasycone pragnienie rozrywek. Chwili nie mogę usiedzieć spokojnie w domu. Zarzuciłem wszystkie niemal swe prace i bawię się.

Wciągnąłem w ten dziki wir i Martę. Zrazu opierała się łagodnie, lecz z czasem uległa, jak w ogóle zawsze w stosunku do mnie. Chwilami mam wrażenie, że patrzy na mnie z lękiem, jak na obłąkańca, lecz że ciągle śmieję się z tych jej bezwiednych obaw, uspokojona pozwala się unosić rozkosznemu prądowi.

W kołach znajomych zdobyłem już podobno przydomek „pas jonowanego życiowca” i jako taki nie omieszkuję zjawiać się na każdym wieczorku, wencie, reducie, stawać do zawodów sportowych, zabierać głos na burzliwych

zgromadzeniach. Zwróciłem nawet swym trybem życia uwagę prasy, która, o ile przedtem, gdy pracowałem istotnie twórczo i poważnie, usiłowała ignorować mnie stereotypowo „zabójczym” milczeniem, teraz ze wszech stron rzuciła się na mnie zajadle jak na apokaliptyczną bestię. Sypią się pod moim adresem morały o marnowaniu talentu, o warcholstwie życiowym, o manii orgiastycznej itp. Nie zważam na nic i od rana do późnej nocy, a czasem do drugiego rana, szumię jak młokos.

I w życiu erotycznym przekraczam teraz coraz wyraźniej dawniejszą miarę. Co gorsza, czuję, że jestem wprost anormalny. Sądzę, że po części przyczynia się do tego nerwowy sposób życia, jaki teraz prowadzę. Budzą się we mnie jakieś pierwotne instynkty i chorobliwa pobudliwość zmysłów.

Żał mi tylko Marty. Wprawdzie jej podatny jak wosk charakter przystosował się niebawem i to nie bez uczucia wzajemnej rozkoszy do zmienionych warunków, lecz mimo wszystko ona mi teraz nie wystarcza. Dla mnie jest to chwilami okropne, lecz nie mogę się opanować. Pijany jestem. Na szczęście ona o niczym nie wie; nawet nie przeczuwa. Nie przeniosłaby tego. Owszem, jest teraz dla mnie podwójnie dobra i wyrozumiała. A jednak... a jednak nie czuję się szczęśliwy.

Właściwie nie brak mi niczego, a przecież... jakoś mi dziwnie. Miewam chwile prostracji duchowych lub też niepokojów, tak dusznych, że zrywam się w nocy i cichaczem wypadłszy z domu, topię ciemny strach w rozrywkach. Coś mię dusi, dławii. Czasami boję się własnego cienia i nie śmiem pozostać sam przez parę minut.

Muszę być ustawicznie wśród ludzi, widzieć ludzkie twarze, słyszeć ludzki głos, czuć obecność istot żyjących. Zresztą czuję się coraz częściej okropnie samotny, bezna-

dziejnie izolowany. Niejednokrotnie w czasie najhuczniejszej zabawy, gdy twarz Marty, zaróżowiona od wzruszenia, tchnie tym niewysłowionym blaskiem, który w niej zawsze tak podziwiam, nagle ci piękni, wyfraczeni mężczyźni, wytworne, do omdlenia czarujące kobiety – wszystko to odsuwa mi się gdzieś w głąb, w daleką, bez kresów perspektywę i zostaję sam wśród jasnej, nużącej zgiełkiem światł sali, sam, absolutnie sam...

Luty 1906

Oni wszyscy pozostają w nieświadomym porozumieniu co do mojej osoby. Wytworzyła się niemal entente cordiale co do postawy, jaką należy przybrać wobec mnie.

Stało się to nie wiadomo jak, ukradkiem prawie, ale niewątpliwie. Oni sami nie zdają sobie z tego sprawy, co właściwie zaszło, i gdybym ich o to zagadnął, z pewnością każdy odpowiedziałby zdumieniem. A przecież zachowują się teraz względem mnie całkiem inaczej niż przedtem. To nie jest przywidzenie – stanowczo nie! Coś w tym jest. Nie chodzi tu o lekceważenie lub pogardę. Przeciwnie. Ludzie są dla mnie uprzejmi jak dawniej, nawet, powiedziałbym, czołobitni, lecz... i tu widzę tajemniczą a zgodną u wszystkich zmianę – szacunek ich dla mnie nabrał cech jakby pewnej bojaźni, jakby żywiołowej trwogi. Lecz nie jest to bojaźń czci, ale coś całkiem innego...

Co właściwie w tym tkwi, odgadnąć nie umiem.

Mam tylko wrażenia i odczucia. Ludzie zachowują się wobec mnie z trwożną rezerwą. Gdy staram się zbliżyć, instynktownie uchylają się, lubo wśród oznak szacunku. Wiem z całą pewnością, że źródłem tego nie jest poczucie niższości, chęć ukorzenia się – nie, wszystko, tylko nie to. Oni raczej traktują mnie jako coś heterogenicznego, nie-

współmiernego z nimi, przed czym zdrowy instynkt ostrze-
ga i każe się mieć na bacności. Czasami muszę się uważać
wśród nich za ciało obce.

Sytuacja moja jest tym nieznośniejsza, że właśnie teraz
najbardziej potrzebuję towarzystwa ludzkiego. Tymczasem
gdziekolwiek się pojawię, od razu staję się im ciężarem.
Maskują się naturalnie, pokrywając przykre uczucie, jakie
wszędzie wywołuję, grymasem grzeczności, lecz ja to do-
brze widzę i odczuwam, i nie dam się zmylić. Najwidocz-
niej krępuje ich moja obecność...

Tym to dziwniejsze, że miewam zwykle szalony humor
i staram się ubawić ich wszelkimi sposobami. I chwilami
udaje mi się wybornie; zapominają jakby o czymś i ser-
deczna ochota ciepłym nurtem przepływa im po duszy.
Lecz wystarczy jakiś drobny szczegół, jakieś słówko po-
ważniejsze, rzucone w przelocie, a wszystko wraca do
dawnego stanu, i znów robi się wkoło mnie przerażająca
pustka...

20 lutego 1906 r.

Zachodzą mi drogę jacyś ludzie nieznanymi i przemawiają
słowami zagadek... Pojawiają się znaki, skinienia dziwne i
odegrawszy przede mną ciemne swe role, zapadają gdzieś
w dal. Przytrafiają się zdarzenia szczególne, zajścia dwu-
znaczne i przewinąwszy się przed moim wylekłym okiem,
rozpływają w przestrzeni...

Coś się wkoło mnie dzieje! Na coś się w pobliżu zano-
si...

Przed paru dniami byłem z żoną na maskaradzie. Marta
w swym przebraniu cygańskim budziła powszechne zaję-
cie.

Tłumy masek krążyły koło niej bez przerwy. Bawiłem się jak nigdy. Miałem strój rybacki z przewieszonym przez ramię zielonym niewodem. Bezpieczny pod maską, pewny swego incognito, drwiłem niemilosiernie, wywołując na sali wybuchy śmiechu. Nikt nie domyślał się, że złośliwie baraszkujący, pełen szalonej werwy rybitwa i ciemnowłosa cyganka – to małżeństwo.

Mimo to wśród najhuczniejszej wesołości, gdy rozbawiony tłum wyrwał nas sobie formalnie z objęć, miałem dziwnie przykre spotkanie. W pewnej chwili przystąpiło do mnie jakieś wysokie, chude domino i półzartem rzuciło mi, przechodząc, uwagę:

– Wesoły rybaku, miotasz się jak opętaniec i wywijasz siecią tak skwapliwie, jak gdybyś chciał nas wszystkich w nią złowić. Lecz niewód twój pusty, zdobycz wymyka ci się z rąk, a śmiech, który tak chciwie zdobywasz, dźwięczy nieszczerze. Czuć cię wodą. Zbyt przesiąkłeś chłodem topieli i teraz przemocą chcesz się tu rozgrzać. Robisz wrażenie cienia, który zapragnął zostać przedmiotem.

Rzuciłem się ku impertynentowi, aby dać mu porządną odprawę, lecz ten wmieszał się natychmiast w tłum bezpowrotnie.

Doznałem nader przykrego wrażenia. Ciemne słowa nieznanego dotknęły mię głęboko, kojarząc się bezwiednie z nastrojem dni ostatnich. Dopiero dzielna pomoc Marty zatarła następstwa niemiłego epizodu i noc upłynęła nam już do końca pogodnie.

1 marca 1906

Od tygodnia mam noc w noc ciągle ten sam, szary sen. Uporczywie powtarza się jakiś obraz beznadziejny suchą monotonią.

Śni mi się jakaś stroma, zapadła sień z jednym do połowy stłuczonym oknem na podwórze. Z sieni pnie się w górę klatka schodowa, kręta tysiącem przegubów, nużąco długa... Stoję na pierwszych stopniach i wchodzę powoli na piętra. Nogi wloką się leniwo, stukają ciężko po dębowych deskach, budząc głuche echa pustej przestrzeni. Stopnie są brudne, opylone grubą warstwą szarego kurzu, który pod uderzeniem obuwia wzbija się śniadą chmurą i dusi. W powietrzu czuć suchość, język przywiera do podniebienia. A schody wiją się bez końca ku niewidomym piętrům, ciągną się nieubłaganie wzwyż nudnym następstwem rzeczy powszednich. Gdy chcę przystanąć na chwilę i rzucam okiem poza siebie, popielate morze stopni pręży się ku mnie węzowymi skrętami, że z trwogą odwracam się od szarej otchłani i wdzieram dalej, wyżej, wyżej, wyjętam resztki sił, napinam zwiotczałe nerwy. Pot perlisty występuje mi na czoło chłodne jak żelazo, ręce drgają jak szalone, a tępy wzrok, wlepiony w opętaną drabinę, snuje się gnuśnie po pajęczych wiszarach...

Tak idę godzinami, bez przerwy, noc całą, a gdy już świt osrebrzy mą sypialnię, budzę się z potępięczym znużeniem jak pielgrzym znużony. Szary, szary sen...

6 marca

Ciągle jeszcze dławi mnie po nocach ta sama zhora. Już drugi tydzień wędruję we śnie po plugawych schodach i połykam kurz zbutwiałych stopni. Lecz są i pewne zmiany. Sen zdaje się rozwijać nowe motywy i dążyć ku jakiemuś rozwiązaniu...

Nie jestem już sam w pyłnej klatce: mam towarzysza. Spotykam go od minionej soboty zawsze mniej więcej w środku drogi ku górze. Wygląda na stróża tego dziwnego

domostwa, bo w ręku pobrząkuje pękiem starych, zardzewiałych kluczy. Schodzi skądś z górnych pięter, a stąpa tak cicho, że kroków nie słyhać: idzie po schodach jak cień.

Szczególny człowiek. Nigdy na mnie nie patrzy, jakby się bał mego spojrzenia, lecz ustępuje mi trwożliwie z drogi, przesuając swą wydłużoną postać tuż przy ścianie. Usiłowałem parę razy zająrzeć mu w twarz, lecz szeroki pilśniowy kapelusz, nasunięty głęboko na czoło, udaremnia moje wysiłki.

Minąwszy mnie, zstępuje niżej w dół i znika nagle jak widmo, gdy ja zajadle, bez tchu wdzieram się na nową, coraz wyższą kondygnację...

Dopiero wczoraj dotarłem nareszcie do końca obłąkanej klatki i stanąłem na czworokątnej platformie przed jakimiś drzwiami okutymi w żelazne sztaby. Tu był kres.

Oparłem się wyczerpany o spróchniałą balustradę ostatnich schodów naprzeciw wierzei i wlepiłem wzrok w żelazne przecznice... Gdyby tak drzwi otworzyć i zająrzeć do wnętrza?

Uderzyłem ze wszystkich sił w żelazną zaporę, lecz okrwawiłem tylko ręce, które od bólu skurczyły się nerwowo i opadły bezradne.

Nie zrażony, oparłem się całym ciałem o skrzydła, usiłując wyważyć je z zawiasów, i szamotałem się z upartymi antabami w nadziei, że uda mi się je wyrwać z nitów. Lecz wściekle spoiwa trzymały z nieubłaganą wytrwałością i nie poddawały się.

Gdy zniechęcony niemal już słałem się na kolanach, uczułem, jak ktoś mi wsuwa w rękę jakieś ostre, stalowe narzędzie. Chwyciłem uradowany, zrozumiałwszy, że chce mi ułatwić zadanie i wdzięczny zwróciłem się ku niespodziewanemu pomocnikowi. Lecz w tymże momencie odskoczyłem dziko w kąt między ścianą a balaskami. Czło-

wiekem, który chciał mi się przysłużyć, był „stróż” spotykany po drodze na schodach. Kapelusz nie ocieniał mu teraz twarzy – ha, ha! – on jej nigdy nie mógł zakrywać, bo w miejscu twarzy czerniały tylko dwie puste jamy!...

10 marca

Zdaje mi się – prześniłem mój sen do końca. Obraz, który ujrzałem nocy dzisiejszej, nosi na sobie wszelkie cechy epilogu. Jeżeli się sprawdzi jutro, rozumni obserwatorowie życia, którzy ze zdumieniem śledzą me wyuzdanie, może wreszcie pojmą je i przestając uważać mnie za wariata, skłonią w zadumie głowy:

– Tak być musiało.

Piszę te słowa spokojnie; tak spokojnie, że chwilami sam sobie się dziwię. Wszakże to jutro!

Godziny upływają mi zwykłym trybem, wydzwaniane miarowo przez stare zegary, zajęcia dnia powtarzają się z obojętną regularnością rzeczy zwyczajnych.

Na zewnątrz nie dzieje się nic. Wszystko po dawnemu, nigdzie podejrzanego rysy, niepokojącej zmiany. Takie to jakieś dziwne, tak okropnie dziwne! Wszakże jutro!

Chociaż... może się mylę, biorąc poważnie wytwory schorzałego mózgu, może ja się mylę... Zresztą wszystko mi jedno; jestem tak apatyczny, tak poddańczo zrezygnowany...

Właściwie nie wiem, po co to piszę. Wartość tych kilku kartek zawisa od jutra; jeśli ono odpowie snowi, pamiętnik będzie stanowił ciekawy dokument.

Jestem niby spokojny, a cały drzę jak w febrze i nie mogę w skupieniu skreślić paru linii. A spieszyć się muszę bardzo, bo czasu mam dzisiaj mało i chciałbym jeszcze odwiedzić wszystkich moich przyjaciół...

Chodzi tedy o epilog dzisiejszej nocy, o zakończenie snu, który dręczy mię od kilku tygodni. Prawdziwie stylowy finał!...

W jakiejś porze nocy ujrzałem się znów przed okutymi drzwiami. Stały nieubłagane zawarte jak ostatniego razu. Lecz po dokładniejszym zbadaniu jednego z żelaznych skrzydeł dostrzegłem w nim wycięty prostokątny otwór. Prawdopodobnie wykroiłem go sam za pomocą pilnika ubiegłej nocy, chociaż nie mogłem przypomnieć sobie odnośnego obrazu we śnie.

Zajrzałem przez otwór.

Za drzwiami był pokój.

Wyglądał na pracownię zamożnego człowieka urządzonej ze smakiem i wykwintną prostotą.

W kącie stała oszklona szafka z orzecha na książki, na środku biurko, obok mały stolik z krzesłami, obciążniętymi ciemnozieloną skórą. Na ścianach parę obrazów, których treści nie pamiętam.

Za biurkiem, w szerokim fotelu z poręczami, siedział obrócony do mnie plecami jakiś mężczyzna i coś pisał. Od czasu do czasu odkładał pióro, aby zaciągnąć się cygarem, które dymiło obok w popielnicy, po czym zabierał się gorliwie do dalszej pracy. A była dziwna.

Nieznajomy widocznie nie pisał nic ciągłego, bo co parę chwil odkładał na bok zapisywaną krótko kartkę, aby zastąpić ją drugą. Miałem wrażenie, że zajęty jest adresowaniem. Staralem się uchwycić rysy jego twarzy, lecz nie udało mi się: siedział wciąż plecami ku otworowi i nie obejrzał się ani razu.

Tymczasem obok na biurku piętrzył się coraz wyżej stos kart. Były zgięte w połowie, ze sztywnego, lśniącego kartonu, i każda na grzbiecie, ze strony zewnętrznej, miała świe-

zo napisane atramentem cztery wyrazy. Były to oczywiście adresy różnych osób.

Stąd wnosiłem, że wewnątrz kartony muszą zawierać jakąś treść drukowaną, i to jednakową dla wszystkich: może zaproszenia na jakąś rodzinną uroczystość?...

Nagle przerwał pisanie, potarł ręką czoło i jakby przypominając coś sobie, nacisnął guzik dzwonka.

Wszedł służący. Pan, nie opuszczając fotela, wydał jakiś rozkaz poparty gestem, po czym, ukrywszy twarz w dłonie, oparł się łokciami o biurko i zamyślił...

Wtem otworzyły się drzwi naprzeciw i weszło kilku ludzi z jakimś podłużnym, walcowatym pakietem; za nimi wniosło do pokoju dwóch wyrostków trzy podwójne drabiny.

Pan domu nie podniósł czoła, lecz z głową pochyloną siedział nieruchomo w poprzecznej pozycji.

Wtedy ludzie poczęli rozwijać swe rulony, z których obsunęły się na posadzkę szerokie, morowo lśniące płyty czarnej kitajki. Jeden z wyrostków poprzystawiał do ścian gabinetu drabiny, po czym skinąwszy na towarzysza, wysliznął się cicho z pokoju. Pozostali podzielili się na dwie partie; jedni wstąpili na szczeble, unosząc ze sobą w górę krucze opony, drudzy, pozostali u dołu, odmotywali zwoje, przekrawając materię nożycami, gdy w odpowiedniej długości pokryła ścianę.

Z kolei nastąpiło przybijanie kirów. Słyszałem wyraźnie suchy stukot młotków uderzających o mur, w uszach zgrzytał mi jęk gwoździ, które natrafiały na twardą przeszkodę...

Praca szła w szalonym tempie; po kilku chwilach ze-wsząd zwisały okropne makaty, przesłaniając wszystko jednolitą, połyskującą metalicznie czernią.

Skończywszy pracę, robotnicy odeszli. Nieznajomy wciąż siedział nieruchomo za biurkiem, nie podnosząc twarzy. Zdawał się nie dostrzegać zmiany, jakiej uległo otoczenie.

Wtem znów otworzyły się drzwi naprzeciw i do pokoju wniosło paru chłopaków kilkanaście wazonów z kwiatami, doniczki ze świeżymi pękami tuberoz, lewkonii, mirtów, stopy wieńców z białymi szarfami. Złożywszy je pod oknem, zniknęły.

Po chwili u wejścia ukazał się służący i otworzył szeroko skrzydła drzwi, czyniąc gest zapraszający do wnętrza. Wtedy dopiero pan domu podniósł się na przyjęcie gości. Oparłszy się lewą ręką o brzeg stołu, drugą wyciągnął ruchem wytwornym na powitanie.

Niedługo czekał. Niebawem w drzwiach zaczęła parę postaci męskich w stroju wieczorowym. Szybko przeszedłszy chodnik, rozesłany od wejścia do biurka, ściskali w milczeniu dłoń gospodarza. Twarze poważne, surowe, skupione. Poznałem ich: byli to moi najbliżsi znajomi. Potem przyszli inni. Żaden nie był mi obcy: sami towarzysze pracy, koledzy, gdzieniegdzie ludzie przygodnie poznani. Poprzez zwarty tłum ubrań wieczorowych dojrzałem tu i ówdzie kilka kobiet z towarzystwa, do którego należałem.

Goście po przywitaniu się z panem domu usunęli się w głąb pokoju, zapełniając go powoli ciemnym zastępem. Nie było słycać żadnych rozmów, żadnych szeptów: panowało głuche milczenie, nieprzerywane nawet słowami przywitania; podawano sobie tylko ręce bez słów, jakby w niemym porozumieniu...

Nagle tłum rozsunał się wśród oznak szacunku i tworząc szpaler, przepuścił środkiem jakąś kobietę, ubraną w ciężką żałobę. Spod zapuszczonego kwefu wymykały się połyskujące ciepło na skrętach ciemnopłowe pukle wło-

sów; smukła i gibka jak trzcina, szła krokiem pełnym utajonej dystynkcji, której nawet ból i żałoba chwili nie zdołały zatrzeć.

Ujrawszy wchodzącą, nieznajomy mężczyzna postąpił ku niej i wyciągnął ramiona. Obsunęła się w nie bez słowa i na długą chwilę spoczęła w cichym objęciu. Po czasie on dźwignął wiotką jej kibić i oparłszy na swoim ramieniu, odsunął przed oczu jej welon... Kobieta była moja żona...

Długo, długo wpatrywał się w jej twarz, w jej prześliczne oczy i chłonał słodycz jej spojrzenia. Potem powoli, nie spuszczać z niej wzroku, sięgnął wstecz ręką ku biurku i wzięwszy ze stosu leżących tam kart jedną, otworzył ją i podał Marcie do przeczytania...

Była to klepsydra pogrzebowa. Rzuciła się w oczy data: 11 marca 1906, a nad nią nazwisko zmarłego: Atosal. – Dziwne nazwisko!...

Nagle przyszło mi na myśl, że należy je odczytać na wspak... Zacząłem... W miarę jak porządkowałem wstecznie litery, nieznajomy powoli obrócił się ku mnie twarzą i... Wśród okrzyku grozy obudziłem się...

Dopisek wydawcy pamiętnika:

W. Lasota zmarł dnia 11 marca 1906 roku śmiercią nagłą, trafiony w głowę przez spadającą z rusztowania cegłę.

NA TROPIE

Obudziłem się z głową ciężką jak ołów, śmiertelnie znużony. Spojrzałem na zegar: była dwunasta w południe. Spałem dziś niezwykle długo.

W całym domu cisza skwarne go południa, senne odrętwienie lipcowego upału. Byłem sam. Stary Jan wyniósł się gdzieś jak zwykle do sąsiadów na poobiednią fajeczkę, zostawiając mnie na łasce Opatrzności.

Z niewymownym trudem podłożyłem ręce pod głowę, wlepiając wzrok w sufit. Jakieś potworne wyczerpanie zawiesiło mi u nóg i rąk gigantyczne ciężary i nie pozwalało dźwignąć się z otomany.

Cofnąłem się pamięcią do dnia poprzedniego, lecz nie znalazłem nic, co by mogło wywołać to iście homeryczne rozluźnienie członków. Dzień upłynął mi spokojnie na podmalowywaniu pejzaży; wieczorem przy blasku księżycy odbyłem małą przechadzkę po mieście, po czym koło dziesiątej poszedłem spać. Oto wszystko.

Więc nie tędy droga. W tym tkwi coś innego. A mozem ja chory? Lecz skądże by znowu?

Wzrok oderwany od mozaiki stropu mimowolnie padł na stalowy ekran wysunięty na środek pokoju. Był to mój hipnoskop. W chwilach wolnych oddaję się studiom z tak ciekawej dziedziny, jak hipnoza i doszedłem już do dość obiecujących wyników, zwłaszcza w zakresie samousypia-

nia. Wystarczy mi rzucić parę skupionych spojrzeń w głąb ekranu, a natychmiast zapadam w sen, z którego budzę się o godzinie z góry przez siebie naznaczonej.

W ostatnich jednak czasach zaprzestałem doświadczeń, zauważywszy, że wpływają rozstrajająco na mój organizm, gdyż budziłem się jakiś nieswój i jakby odkształcony.

Mimo to widocznie wczoraj coś mię skusiło po dłuższej przerwie do podjęcia eksperymentu. Tak przynajmniej każała przypuszczać pozycja ekranu na środku pokoju; zwykle bowiem stoi pod ścianą.

Dziwiła tylko jedna okoliczność. Nie mogłem w żaden sposób przypomnieć sobie, czy istotnie wczoraj wieczorem zaglądałem w hipnoskop. W każdym razie musiało to nastąpić już po powrocie z przechadzki, więc po dziesiątej w nocy. A przecież ostatnim faktem z ubiegłego dnia, jaki mi pozostał w pamięci, była chwila zdejmowania zarzutki, którą zawiesiłem na stojaku.

Co się potem stało, nie pamiętam. Prawdopodobnie przyszła mi skądś ochota do autohipnozy, nie omieszkałem jej zaspokoić.

Wszystko więc było wyjaśnione i powód znużenia poniekąd zrozumiały. Chodziło tylko o to, o czym właściwie śniłem i co się ze mną w tym czasie działo. Tu irytowała mię zawsze szczególna niepamięć, jaka omotywała mi mózg po zbudzeniu się: nigdy nie mogłem sobie niczego przypomnieć.

A perypetie autohipnozy musiały być czasami nader zajmujące. Przekonałem się o tym naocznie w dziwny, przypadkowy niemal sposób.

Pewnego dnia, zbudziwszy się nad ranem, spostrzegłem ze zdumieniem na rusztowaniu przy sztalugach kadłub jakiegoś starego posągu. Kamień był już miejscami zwietrzały i porysowany, mimo to znać było jeszcze ślady mi-

strzowskiej ręki w bajecznie rysujących się liniach torsu. Nie mogłem zrazu absolutnie dociec, jaką drogą ten fragment dostał się do mej pracowni. Myślałem, że może który ze znajomych chciał mi wypłatać figla lub że Janowi przyszła ochota uraczenia mnie tym ułamkiem sztuki. Lecz wszelkie dochodzenia spelzły na niczym; każdy wzruszał ramionami i patrzył na mnie jak na szaleńca.

Poddałem więc szczególny nabytek dokładnej obserwacji i po jakimś czasie doszedłem do przekonania, ale gdzieś już widziałem ten ułamek o tragicznym rzucie głowy. Przed kilku laty, przechodząc koło starego parku w odległej dzielnicy miasta, spostrzegłem w głębi, na półrozwalonym piedestale silnie zwietrzały posąg bez rąk, ledwo trzymający się podstawy. Robota wpadła mi jednak w oko i zrobiła wrażenie. Jakiś czas nawet nosiłem się z myślą przeniesienia go na paletę. Potem zapomniałem najzupełniej.

Prawdopodobnie tedy w chwili samousypiania, w tym ostatnim momencie, który rozgranicza jawę od snu, przemknęło mi w myśli wyobrażenie posągu, połączone może z chęcią sprowadzenia go do siebie. Tę ostatnią, niemal już pod progiem świadomości zrodzoną myśl, zaciągnąłem ze sobą jak niewód w mglistą topiel snu, gdzie drogą autosugestii przemieniła się w nieprzeparty rozkaz. Poszedłem i przyniosłem.

O tożsamości posągu przekonałem się podczas jednej z przechadzek, którą umyślnie odbyłem wkrótce potem w kierunku wspomnianego parku. Zastałem tu wszystko tak jak przed laty; lecz w miejscu, na którym stał niegdyś zdefektowany tors, obecnie sterczał nagi, ogołocoony postument; tylko paprocie, wybudajwszy wysoko ponad brzegi, otuliły go zielonymi splewami, jakby zakrywając ze wstydem bielejącą nagość.

Do dziś dnia nie mogę przecież zrozumieć, w jaki sposób przeniosłem ciężki, kamienny kadłub z parku do pracowni: zaprawdę potrzeba było do tego sił olbrzymia. Działał tu chyba jakiś wściekły, bezwzględny nakaz wnętrza, jakiś kategoriyczny imperatyw, wobec którego nie ma namysłu ni wahania; wszystkie siły zestokrotniają się, wszystkie ściągna prężą w szalonym wysiłku, by zaspokoić, wypełnić coś, co żarzącymi głoskami wypaliło się we wnękach duszy; dźwiga się jakaś niesamowita, nerwowa moc i pędzi na łeb, na szyję, przez debry, wykroty, łamie, druzgoce, wali w proch do stóp swych wszystko, co staje na zawadzie, i dopina celu zziajana, krwią ociekła, lecz triumfująca...

Co mnie jednak najbardziej zaniepokoiło przy tym dziwacznym zdarzeniu – to przypuszczalne rozrastanie się do rozmiarów wewnętrznego nakazu owej ostatniej, może całkiem przelotnej myśli w chwili zasypiania. Wszystko zależało od tej ostatniej, niemal w przedsionku snu wałęsającej się myśli.

Podniosłem się ciężko z posłania i zacząłem ubierać się.

Po chwili zauważyłem ze zdumieniem, że wdziałem ubranie wizytowe zamiast zwykłego, które noszę codziennie. Czyżby mi Jan przygotował je umyślnie na dzisiaj? O ile sobie przypominam, nie wydałem mu żadnych specjalnych instrukcji, a wczoraj u nikogo z wizytą nie byłem. Być może więc uważał, że moje codzienne szaty już zbyt wytarte i nie wypada mi się w nich pokazywać nawet w „budny” dzień. Już to w ogóle postępował sobie ze mną dość samowładnie. Pocziwina!

Byłem cały tak „zbity”, że nie chciało mi się ponownie przebierać i włożyłem mój świeżo wykończony, czarny jak kruk tużurek.

Było mi jakoś nieswojo: jakieś trudne do określenia uczucie niechęci czy wstrętu nurtowało we mnie od chwili zbudzenia się; w ustach rozpanoszył się gorzki obrzask obrzydzenia.

Przeszedłem się parę razy po pokoju dla otrząśnięcia się z przykrych sensacji i odzyskania równowagi. Raz mijając zwierciadło, mimo woli spojrzałem w głąb i przeraziłem się: byłem trupio blady, oczy błyszcząły mi jakimś podnieconym, fosforyzującym blaskiem, a ręce wykonywały szczególne ruchy. Przypatrzyłem im się z uwagą: wyciągnąłem je na poziomie bioder równolegle naprzód po jednej linii, potrząsając nerwowo palcami, z których zdawałem się coś opuszczać. Mogłem się zresztą przychwycić na tym tylko na krótką chwilę, bo zauważywszy to, prawie gwałtem opanowałem się, wsuwając ręce do kieszeni. Czyżby nerwowe *delirium*?...

W sionce odezwało się charakterystyczne pochrząkiwanie i cmokanie z fajeczki: Jan wracał z pogawędki. Jakoż po chwili wszedł niezupełnie znać zadowolony ze mnie.

– No, przecież się pan raz pozbierał! Słyszane rzeczy – spać do południa! Dobudzić się nie mogłem. Było tu jakieś panisko, długie, chude jak śmierć. Coś gadał o obrazach. Mówiłem, że pan śpi, żeby przyszedł później. Nie chciał ustąpić. Więc zacząłem pana trochę i ruszać – ale nie pomogło – żelazny sen Pan Bóg tej nocy zesłał, kamienny sen.

– Ma Jan słuszość. Spałem jak zabity. Ale po co u licha zmienił mi Jan ubranie! Przecież nie prosiłem wczoraj o to.

Stary popatrzył na mnie zdumiony, widocznie teraz dopiero spostrzegając, że jestem w wizytowym tużurku.

– Ja zmieniać? A dalibóg – to pan już całkiem chyba tego... – tu zrobił przejrzysty znak na czole. – Wyczyściłem

tylko to, co znalazłem rano na krześle. Musiało leżeć nowe – to i jest nowe.

Przerwał, coś sobie przypominając.

– Niech no pan poczeka; coś sobie przypomnę... zaraz... zaraz... Aha, tak... a juści tak. Wczoraj wieczór, najakuratniej pamiętam, miał panisko tamto codzienne z aksamitną kurtą. A jakże, żeby tak zdrów był. Nic innego, tylko pan sam przed spaniem tamto schował, a inne na dziś położył i zapomniał.

Mówił spokojnie jak zwykle, swym serdecznym, dobrotliwie zrzedzającym tonem. Lecz oczy jego chwilami spoczywały na mnie z pewnym zdumieniem jakby czymś zaciekawione.

– No dobrze już, dobrze. Tak – musiałem widocznie sam przemienić ubrania, choć nie wiem dziś po co. Proszę o śniadanie. Dzienniki są?

– A jakże. Właśnie chłopczysko przyniosło. Jakiś tam nadzwyczajny dodatek, telegram, licho wie co, wsunął mi w łapę. Wziąłem, bo może pan ciekawy. Zaraz przyniosę wszystko.

W parę minut potem dymiła już na stole kawa, rozwierały zapraszająco swe łamy dzienniki.

Wypiłem kawę i zapaliwszy papierosa, zabrałem się do odczytywania dzienników. Nawinął mi się pod rękę ów nadzwyczajny telegram, wybity wyjątkowo wcześniej, bo jeszcze przed wydaniem porannym. Na czele rzucał się w oczy tłustym drukiem tytuł sensacyjnego wypadku:

TRAGICZNA ŚMIERĆ HRABIANKI W. S.

Z zasady pogardliwie pomijam wszelkie artykuły z zakresu kryminalistyki; nie lubię krwawych, szpitalem lub morgą zalatujących wrażeń. I tym razem chciałem już

odłożyć tę nadzwyczajność na bok, gdy przelotny rzut oka na czerniejące rzędy liter zatrzymał się na jednym wyrazie. Była nim nazwa pewnej podmiejskiej miejscowości, z którą łączyło mnie parę odległych wprawdzie, lecz dość silnych wspomnień.

Podjąłem wzgardzony telegram i przeczytałem następującą, zresztą zwięźle podaną wiadomość:

Dziś w nocy na „Wygñance” zaszedł dziwny, tragiczny wypadek. Nad ranem w jednej z komnat „Czerwonego Zamku”, dziedzicznej własności hrabiów S., znaleziono zwłoki dwudziestoletniej hrabianki Walerii. Śmierć nastąpiła wskutek celnego ciosu, zadanego w serce puginałem. Innych ran ani obrażeń na ciele dotąd nie stwierdzono. Sprawa przedstawia się ciemno i tajemniczo. Obszerniejszych wiadomości udzielimy w numerze porannym.

Jak już nadmieniałem, uwagę moją zatrzymała na sobie nazwa miejscowości. Była nią wspomniana „Wygñanka”, rodzaj przysiółka czy podmiejskiego folwarku oddalonego od miasta niespełna o milę. W okolicy tej byłem wprawdzie raz tylko w życiu, lecz doznałem wtedy tak silnego wzruszenia, że złączenie jej nazwy z sensacyjnym wypadkiem skłoniło mnie do bliższego wglądnięcia w sprawę.

Z „Czerwonym Zamkiem” łączyło mnie wspomnienie przepięknej kobiety widzianej raz przed laty. Byłaby nią właśnie tragiczna ofiara ubiegłej nocy?

Podjąłem z kolei numer poranny, chcąc dowiedzieć się czegoś bardziej określonego. Oto co znalazłem:

TAJEMNICZA ZBRODZIA!

Okropny wypadek, który zaszedł dziś w nocy ze środy na czwartek w „Czerwonym Zamku”, nosi na sobie piętno czegoś tajemniczego. Po bliższym zbadaniu sprawy wyklu-

SPIS TREŚCI

PRZED DROGĄ DALEKĄ	5
NA TROPIE	18
SPOJRZENIE	37
SZARY POKÓJ	51
CIUCIUBABKA	61
ZA RYCHŁO	70
CUD ŻYWI	81
KRÓL NENUFAR	94
SYMPATYK PROŃ	107
SAD UMARŁYCH	118
OPOWIEŚĆ O GRABARZU	132
ŚWIADEK MATERNA	144
IRONIA	165
ZMORA	173
PARKAN	178
KSENIA	183
CZAD	191
CZARNA WÓLKA	204
LEPIANKA W CZYSTYM POLU	223
JAK MYRIAM ODESZŁA	231
NIETYKALNY	236